

Syzyfometr

Autor: Bogusław Hareża



Wspomniałem już kiedyś, że zima to pora roku, która kojarzy mi się z samymi uciążliwościami. Oblodzone chodniki, śliskie jezdnie i zasypane, nieprzejezdne drogi lub jak ostatnio w naszym regionie – pozrywane linie elektryczne. W sobotę przez kilka godzin usuwałem śnieg wokół mojej posesji, a w niedzielę kolejne opady nie pozostawiły po mojej pracy ani śladu. Podobnie było ze zrzucaniem śniegu z płaskiego dachu naszego domu. W ciągu całej zimy, która nieraz bywa długa, czynności te powtarzać trzeba w nieskończoność.

Z jednej strony śnieg, to problem, który z biegiem czasu sam się rozwiązuje, bowiem z nastaniem wiosny i ociepleniem po prostu znika z miejsc, w których zalegał dotąd nawet w postaci grubej warstwy. Z drugiej jednak strony są miejsca, z których musi być na bieżąco usuwany po to, byśmy mogli w miarę normalnie funkcjonować. I właśnie owo usuwanie – czynność niewdzięczna i wyczerpująca zarazem, przywodzi mi niejednokrotnie na myśl pracę Syzyfa. Ta mityczna postać kojarzy się jednoznacznie z wykonywaniem ciężkiej, jednostajnej pracy, jednak bez jakiegokolwiek nadziei na zwieńczenie jej sukcesem. Ogromny głaz, który z wielkim wysiłkiem popychał Syzyf w kierunku wierzchołka góry, przed samym szczytem wyslizgiwał mu się z rąk i staczał w dół. Podejmował więc kolejną próbę, po niej kolejną i tak bez końca.

Każdy z nas ma w sobie swego rodzaju syzyfometr. Nazwałem tak zdolność odczuwania przez człowieka bezsensowności własnego działania. Mam na myśli taki rodzaj działania, którym ze względu na brak wymiernych efektów, jesteśmy fizycznie bądź psychicznie zmęczeni, a do którego jesteśmy najczęściej obligowani przez różnego rodzaju okoliczności. Zima może być jedną z takich okoliczności, ale wchodząc w sferę duchową życia człowieka, znaleźć ich można o wiele więcej.

Ot, chociażby ewangelizacja. Próbowaleś się podzielić z kimś dobrą nowiną o zbawieniu i zostałeś wyśmiany. Innym razem ktoś z dobrze udawaną uwagą cię wysłuchał, lecz później okazało się, że zostałeś zakwalifikowany jako sekciarz. Przy kolejnej okazji, kiedy już wydawało się, że wszystko będzie dobrze, osoba, z którą rozmawiałeś odebrała pilny telefon i musiała, niestety, cię pożegnać. Tyle wysiłku, tak mało brakowało, ale nie udało się osiągnąć celu. Twój syzyfometr z pewnością wskazywał wtedy wysokie wartości. A może wielokrotnie zapraszałeś swojego znajomego lub sąsiada do zboru i jesteś już zmęczony jego ciągłymi wymówkami. Myślisz sobie, że to nie ma sensu, że się do tego nie nadajesz.

Zakładam, że większość z nas, ludzi wierzących, nie ma aspiracji, by być wielkimi ewangelistami, przemawiać do wielotysięcznych tłumów, zgromadzonych na stadionie i widzieć, jak ludzie ci setkami wychodzą do przodu, by, pokutując, oddać swoje życie Bogu. To, oczywiście, byłoby czymś fantastycznym, ale myślę, że każdy z nas czułby się uszczęśliwiony, gdyby po złożeniu świadectwa pojedynczej osobie mógł zobaczyć radość na jej twarzy, świadczącą o tym, że poselstwo ewangelii było właśnie tym, na co w swoim życiu oczekiwała. Jakże często jest jednak inaczej – pobłażliwy uśmiech, brak reakcji, różnego rodzaju ironiczne uwagi, a często nawet obraza za traktowanie kogoś, jako niewierzącego, przecież żyjemy w chrześcijańskim kraju!

Dlaczego jest tak ciężko? Wybierając się nieraz z grupą misyjną w takie, czy inne miejsca słyszałem opinie: „To ciężki teren, tam nie da się założyć zboru. Ludzie nie chcą przyjmować ewangelii”. I rzeczywiście, pomimo rozdawania setek traktatów, organizowania spotkań i koncertów muzyki chrześcijańskiej efekt był niezadowolający. Podobnie było w czasach, gdy Jezus chodził po ziemi. On wysyłając swoich uczniów i przewidując takie sytuacje uprzedzał ich:

A jeśli w jakiejś miejscowości nie chciano was przyjąć ani słuchać, wyjdźcie stamtąd i otrząśnijcie nogi z nóg waszych na świadectwo przeciwko nim (Mk. 6,11).

Nie znaczy to jednak absolutnie, że czując się pokonany, powinienem zwiesić swoją głowę, opuścić ręce i uznać, że to nie ma sensu. Apostoł Paweł mówi:

Bo jeśli ewangelię zwiastuję, nie mam się czym chlubić; jest to bowiem dla mnie koniecznością; a biada mi, jeśli ewangelii nie zwiastowałem (1 Kor 9,16).

Wydaje się, że najważniejszym zadaniem współczesnego, żywego kościoła Pana Jezusa Chrystusa jest to, aby nie dać się zniechęcić do zwiastowania ewangelii. Wielkim ciężarem na moim sercu są wszystkie niewykorzystane sytuacje, a było ich sporo, w których miałem okazję do złożenia świadectwa. W niektórych przypadkach taka szansa już się nie powtórzy. To smutne, ale zwyciężyło zniechęcenie, czasem lęk, obawa, że nie podołam, bo akurat nie mam przy sobie Biblii. Zrezygnowałem, bojąc się, że w decydującej fazie zabraknie mi odpowiedniego wersetu, przekonywującego argumentu i kolejny raz zostanę pokonany przez głąz, który, wyslizgując mi się z rąk, z wielkim hukiem stoczy się w otchłań niebytu. Zaczynam rozumieć, że takie myślenie to wielkie kłamstwo naszego nieprzyjaciela, który za wszelką cenę chce nas odwieść od dzielenia się z innymi dobrą nowiną.

Nie odzywaj się, bo się ośmieszysz, będziesz miał z tego powodu nieprzyjemności, to nie jest odpowiednia pora, nadarzy się jeszcze lepsza okazja – to jego najczęstsze podszepty. Nie! Dziś, właśnie dziś i teraz jest najlepsza pora!

Słyszałem o pewnym mężu Bożym, który wychodził z domu w czasie, gdy padał deszcz. Zawsze wtedy znajdował zmokniętego przechodnia, któremu, służąc swoim dużym parasolem, opowiadał przy okazji o wspaniałej miłości Boga do człowieka. To rozważanie kieruję przede wszystkim do siebie, a jego zwieńczeniem niech będą słowa apostoła Pawła, który powiedział:

Lecz o życiu moim mówić nie warto i nie przywiązuję do niego wagi, bylebym tylko dokonał biegu mego i służby, którą przyjąłem od Pana Jezusa, żeby składać świadectwo o ewangelii łaski Bożej (Dz 20,24).